

Karol May

Tajemne postannictwo



Leśna
Różyczka

Tom
10

Część III

Zwycięstwo
mścicieli





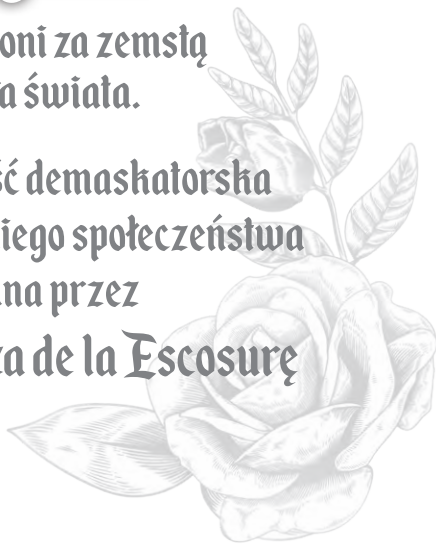
Doktor Carlos Sternau jako „Matava-se” czyli „Księżę Skal”

KAROL MAY

Łeśna Różyczka

czyli w pogoni za zemstą
dookoła świata.

Wielka powieść demaskatorska
o tajnikach ludzkiego społeczeństwa
napisana przez
Ramona Diaza de la Escosure



TAJEMNE
POSŁANNICTWO

Karol May

Tajemne postąnnictwo

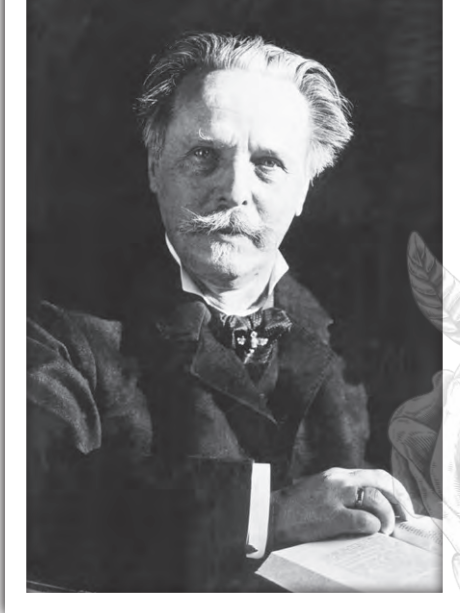


Przełożyła Iwona Kapela

Leśna
Różyczka

Tom
10

Część III
Zwycięstwo
mścicieli



Dwieście pierwsza
publikacja wydawnictwa
JAMAKASZ

Dziesiąty tom kolekcji
„Leśna Różyczka”

Karol May

Tytuł oryginału niemieckiego: *Waldröschen oder Die Rächerjagd rund um die Erde*

© Copyright for the Polish translation by Iwona Kapela, 2025

49 ilustracji, w tym 16 kolorowych kart tablicowych anonimowego twórcy zaczerpnięte z edycji niemieckiej (Wydawnictwo H.G. Münchmeyer, Dresden-Niedersedlitz, 1902 r.)

podkolorowanie: Dariusz Kocurek

Redaktor kolekcji: Andrzej Zydorczak

Redakcja: Elżbieta Rogucka

Przypisy: Iwona Kapela, Elżbieta Rogucka, Andrzej Zydorczak

Korekta: Andrzej Zydorczak

Koncepcja graficzna, projekt i skład: Mateusz Nizianty

Wydanie I

© Wydawnictwo JAMAKASZ, Ruda Śląska 2025

Nakład: 200 egz.

Egzemplarz nr

ISBN 978-83-66268-99-9 (całość kolekcji)

ISBN 978-83-67876-45-2 (tom 10)

Druk i oprawa: Totem.com.pl

88-100 Inowrocław, ul. Jacewska 89



Wydawnictwo JAMAKASZ
www.jamakaszk.pl

e-mail: jamakaszk2013@gmail.com
tel.: 32 340 21 42, 531 094 758
Ruda Śląska 2025

ROZDZIAŁ CZWARTY

W TAJNEJ MISJI

Spadł świeży śnieg, który myśliwy tak bardzo lubi, ponieważ wtedy najłatwiej rozpoznać i odczytać tropy dzikiej zwierzyny. Jeszcze tylko pojedyncze płatki wirowały miękko i marzycielsko, opadały i osiadały w postaci błyszczących gwiazdek na gałęziach jodeł i sosen, które rosły po obu stronach drogi prowadzącej z Moguncji do Rheinswalden.

Zimowy dzień zaczynał dopiero świtać, ale mimo tej wczesnej porannej godziny znalazła się już ludzka istota, która szła tą drogą.

Był to człowiek, którego wygląd należałoby uznać za wysoce osobliwy. Panujący dziś chłód wydawał się nie robić na nim żadnego wrażenia, choć jego ubranie było bardzo lekkie, jakby na lato. Miał na sobie buty, a raczej półbuty, o fasonie i stylu wykonania dość dziwnym w tym regionie, krótkie, niebieskie i bardzo szerokie płócienne spodnie, tu i ówdzie mocno porozdzierane, kurtkę tego samego rodzaju, która wydawała się być dla niego się o wiele za mała i za ciasna, a na głowie czapkę, która zapewne kiedyś miała daszek, ale teraz była rozerwana na wszystkich szwach. Kurtkę miał rozpiętą, tak że można było zobaczyć koszulę, która z pewnością od miesięcy nie była prana, a niezapięta z przodu ukazywała zupełnie nagą klatkę piersiową, która będąc gęsto owłosiona sprawiała wrażenie, jakby od lat była wystawiona na wszystkie wiatry i niepogody. Wokół jego długiej, chudej szyi miał owiniętą starą chustkę, co do której nie było jasne, jakiego kiedyś mogła być koloru, a między spodniami i kurtką funkcję paska pełnił zawijający się

wokół ciała szal, który, jak się wydaje, służył mu od stuleci do wszystkiego, co możliwe. Na plecach mężczyzna ten niósł dość duży i dobrze wypełniony lniany worek, a przez lewe ramię przewieszony stary, długi skórzany bukłak, którego przeznaczenie człowiek niewtajemniczony zapewne z trudem dalby radę odgadnąć.

Jednak najbardziej osobliwa w tym człowieku była jego twarz: wychudzona, mocno opalona i pociemniała od wiatru i słońca. Jego szerokie usta prawie nie miały warg. Małe oczy patrzyły spod powiek z niezwykłą bystrością i pewnością, a nos – tak, ten nos można było nazwać prawie monstrualnym. Miał rozmiar, który kazałby go nazwać raczej dziobem niż nosem.

Nieznajomy podązał właśnie zakrętem drogi, gdy zauważył, że nie jest jedynym wędrowcem. Właściwie w niewielkiej odległości przed nim tą samą trasą szedł mały, chudy mężczyzna.

– *Well*¹, ale mały człowieczek – mruknął nieznajomy. – To jest dla mnie korzystne, bo kalkuluję, że będzie znał okolice, a więc może udzielić mi informacji. Szybko go dogonię.

Po tych słowach zaczął stawiać coraz szybsze i dłuższe kroki. Nie było wcale widać, że kosztowało go to jakikolwiek wysiłek. Ale koń musiałby klusować, żeby w ten sposób móc za nim nadążyć. Jego kroki były przy tym tak stłumione przez śnieg, że człowiek idący przed nim nie zauważył jego obecności, dopóki przybysz go nie zawołał.

– *Good morning, sir!*² – zawołał nieznajomy i kontynuował w dość łamanym niemieckim: – Dokąd prowadzi ta droga, przyjacielu?

Zapytany odwrócił się szybko, ale jednocześnie cofnął się z przerażeniem na widok przybysza, gdyż ten wyglądał bardziej jak włóczęga niż jak uczciwy człowiek.

¹ *Well* (ang.) – dobrze.

² *Good morning, sir* (ang.) – dzień dobry panu.

– No, dlaczego pan nie odpowiada? – zapytał szorstko obcy. To pytanie otrzeźwiło małego mężczyznę. Zdał sobie sprawę, że przy takim włóczędze jedynym ratunkiem jest bycie możliwie jak najbardziej uprzejmym.

– Dzień dobry – odpowiedział. – Ta droga prowadzi do Rheinswalden.

– Czy jest pan tam znany?

– Tak.

– Czy może pan tam mieszka?

– Nie.

– Kim pan właściwie jest? – zapytał nieznajomy, spoglądając badawczo na rozmówcę.

– Weterynarzem – odparł zapytany.

– Weterynarzem? Hm! Piękne rzemiosło. Bydło jest łatwiejsze do leczenia niż rasa ludzka. Zapewne ma pan coś do zrobienia w Rheinswalden?

– Tak, posłano po mnie wcześniej do chorej krowy.

– Zastrzelcie ją, wtedy zostanie uleczona i pozbędziecie się kłopotu.

Mały spojrział na dużego mocno przestraszony.

– Co pan mówi? – obruszył się. – Zastrzelić krowę na śmierć!

– Phi, zastrzeliłem takich wiele setek.

Mały zrobił bardzo zdziwioną minę i skomentował:

– Chyba diabeł panu uwierzy!

– Diabeł też by w to uwierzył. Gdyby nie chciał wierzyć w coś, co mówię, napytałby sobie biedy.

– No, niech się pan tak bardzo nie przechwala.

Wtedy nieznajomy wyduł usta.

– Pchtichchchch! – świsnęło i w tym samym momencie w stronę małego trysnął strumieniem gęstego, ciemnego soku tytoniowego tak blisko jego twarzy, że odruchowo się cofnął z przerażenia.

– Do pioruna, proszę uważać! – krzyknął. – Niech pan uważa, gdzie pan pluje!

– Wiem dokładnie gdzie – zapewnił go spokojnie nieznajomy.

Mały spojrział na niego bojaźliwie od góry do dołu, a potem zapytał:

– Przypuszczam, że żuje pan tytoń?

– Tak.

– Dlaczego nie woli pan palić papierosów lub zażywać tabaki?

– Nie mam smaku do palenia, a mój nos jest mi zbyt drogi na tabakę.

– Cóż, to widać, że pan też to kochasz. Ale żucie tytoniu jest strasznie niezdrowe.

– Tak pan myśli? – zapytał nieznajomy tonem pełnym wyższości.

– Tak. Ja, jako weterynarz, dobrze to wiem.

– No, no. Hm! Przypuszczam, że w takim razie nie pozwala pan miłemu bydlu żuć tytoniu?

– Ani mi to w głowie.

– Może pozwoli pan im palić lub wciągać tabakę?

– Nie rób pan sobie głupich żartów z tej zaszczytnej nauki. Bez niej zginęłoby wiele zwierząt.

– Tak, i bez tego wielu ludzi pozostałoby przy życiu. Więc chce pan dzisiaj wyleczyć krowę?

– Tak. Ma *perlsucht*³.

– Do kogo należy ta krowa?

– Do pani Helmers z folwarku obok zamku.

– Helmers? Hm... Czy ta kobieta jest wdową?

– Tak i nie.

– Jak pan to rozumie?

³ *Perlsucht* (niem.) – przestarzała nazwa gruźlicy bydła; choroba zakaźna, która może być przenoszona na ludzi poprzez spożywanie surowego mleka, pochodzącego od zakażonych zwierząt.

– Jej mąż chyba nie żyje, ale ona nie może tego udowodnić.
Wyruszył bowiem w daleką podróż i do tej pory nie wrócił.

– Dokąd?

– Ostatnia wiadomość przyszła z Meksyku.

– Kiedy?

– Pod koniec jesieni.

– Hm – rzekł nieznajomy w zamyśleniu. – Rheinswalden to zamek?

– Tak.

– Do kogo należy?

– Do pana kapitana i nadleśniczego von Rodensteina.

– Czy ten człowiek jest żonaty?

– Nie, ale ma syna.

– Mieszka z nim w Rheinswalden?

– Nie, w Rodrigandzie.

– W Rodrigandzie? Co to jest?

– Zamek w sąsiedztwie Rheinswalden. Należy do księcia von Olsunny, który jest teściem malarza Ottona von Rodensteina.

– Ach, czy ten książę nie jest ojcem niejakiego Sternaua?

– Hm, nie mogę nic powiedzieć na ten temat, ale mieszka z nim żona, Rosa Sternau, która jest właściwie hrabiną de Rodriganda. Jej córką jest Leśna Różyczka. Dlaczego pan tak wypytuje?

– To powinno być dla pana sprawą obojętną.

– Być może. Ale nie wygląda pan jak ktoś, kto ma powód, by wypytować o tak znamienitych ludzi.

– Nie? A to dlaczego, hę?

Mały rzucił pogardliwe spojrzenie na nieznajomego i odpowiedział:

– No cóż, musi pan przyznać, że wygląda pan jak prawdziwy włóczęga.

– Pchttichchch! – Na kapelusz weterynarza spadł gęsty strumień soku tytoniowego.

– Pogański pomiot! Niech pan uważa! – krzyknął mały ze złością.

– Phi, włóczędzy nie mają nic innego do roboty.

– Ale ja sobie wypraszam!

– Niewiele to panu pomoże, jeśli nadal będzie pan grubiański.

– Czy mam się z panem obchodzić jak z jajkiem? Byłby pan facetem zdolnym do tego, aby stawiać takie wymagania. Przychodzi jakiś obcy człowiek i tak mnie opluwa, że nawet w Rheinswalden nie mogą się pokazać.

Mały człowieczek nadzwyczaj się rozgniewał. Zdjął kapelusz i wyciągnął go ze złością w stronę nieznanego.

– Niech pan go wytrze – powiedział ten zimno.

– Wycierać? Ja? Co pan sobie myśli? Czy zechce pan sam go natychmiast wytrzeć? Jeśli nie, to mnie pan pozna!

– Kto chce być czysty, musi się wylizać. Ja tego nie potrzebuję.

– Ach! Więc nie? Albo pan wytrze kapelusz, albo...

Rzekłszy to, podniósł groźnie laskę.

– Co... „albo”? – zapytał nieznamy.

– Albo walnę pana w twarz!

– Wal pan! Pchlichchchchch!

Kolejny strumień tytoniu rozprysnął się na surducie weterynarza.

– Tego już za wiele! Teraz to już mam dość! – zawołał. – Proszę! Masz!

Zamachnął się do ciosu, ale nie zdążył, bo nieznamy błyskawicznie wyrwał mu laskę z ręki i odrzucił daleko ponad wierzchołkami drzew. Następnie złapał małego bohatera za biodra, podniósł go do góry i potrząsnął nim tak mocno, że ten przez moment z wrażenia nic nie widział i nic nie słyszał. Potem ostrożnie postawił go z powrotem na ziemi.

– No, mały krasnalu – zwrócił się do niego – to jest za „włóczęgę”. Ale teraz wysił się i biegnij ile sił w nogach! Bo jeśli za

chwilę znów cię złapię, to wycisnę z twojego ciała całą „twoją wielce szanowną naukę”!

Weterynarz wziął głęboki oddech. Chciał się odezwać, jego oczy zaiskrzyły się gniewem, ale opanował się, odwrócił i w następnej chwili zniknął między drzewami.

– Mała ropucha, ale jednak odważny! – mruknął nieznajomy. – Tak czy inaczej, zobaczymy się ponownie w Rheinswaldden. Jestem ciekawy, co tam powie! Hm! Sępi Dziób i włóczęga! Niech diabli wezmą tę przekłętą cywilizację, która uważa za włóczęgę każdego, kto nie ma czarnego fraka zawieszzonego na żebrach!

Ruszył w dalszą drogę, ale po chwili nagle się zatrzymał, potem szybko przeskoczył przez przydrożny rów i schował się za krzakiem, który był na tyle gęsty, żeby go ukryć. Mianowicie usłyszał hałas, który, jako myśliwy z preerii, znał aż za dobrze. W następnej chwili z lasu naprzeciwko niego wyszedł powoli okazały kozioł.

– Kozioł! – wyszeptał. – I co za dorodny okaz! Do stu piorunów, co za szczęście, że moja stara strzelba jest naładowana!

Nie myśląc o tym, że nie jest już na Dzikim Zachodzie Ameryki, szybko zerwał z ramienia stary skórzany bukłak i wyjął strzelbę. Kurek głośno trzasnął. Usłyszał to kozioł i podniósł głowę, nasłuchując. W tym samym momencie rozległ się też strzał, od którego zwierzę padło natychmiast na ziemię.

– Hurra! – krzyknął głośno strzelec. – To był strzał! A teraz do niego!

Wyskoczył zza krzaków w kierunku zwierzęcia, odrzucił od siebie płócienny worek i skórzany bukłak, wyciągnął nóż i naprawdę zabrał się do patroszenia kozła. W czasie tej pracy usłyszał zbliżające się kroki, ale ogarnięty gorączką łowiecką, w najmniejszym stopniu o to nie dbał. Spokojnie kontynuował swoje zajęcie, dopóki nie stanął za nim zbliżający się człowiek.

Ten najpierw chwycił leżącą na ziemi strzelbę dzikiego zu-
chwalca, spojrzal na niego zdziwionym wzrokiem, a potem wy-
krzyknął:

– Do pioruna, co ten przeklęty drań sobie myśli tutaj!

Dopiero teraz Sępi Dziób odwrócił głowę i odpowiedział:

– Co mogę myśleć? Widzi pan przecież!

– Tak jest, widzę to! On zastrzelił kozła!

– Tak jest – odpowiedział łowca skinieniem głowy.

– Ale kto mu rozkazał to zrobić?

– Rozkazał? Nikt.

– Nikt? No, dlaczego więc to zrobił?

– Dlaczego? Cóż, czy mam pozwolić, by taki kozioł mi uciekł?

Przy tych słowach podniósł się i rzucił niezwykle zdumio-
ne spojrzenie na pytającego. Ten nie mógł się powstrzymać od
zadania pytania co najmniej równie zdumionym tonem:

– Chłopie, czyś zwariował?

– Zwariował? Phi! Pchtichchchch!

Przy tym trysnął strumieniem soku tytoniowego tuż obok
twarzy drugiego. Ten cofnął się o krok i krzyknął:

– Do miliona ciężkich gromów! Jak on śmie? Czy uważa
mnie za holenderską spluwaczkę?

– Nie, ale za arcygbura!

– Ja? Arcygburem? To się robi coraz ciekawsze!

– Tak, on jest arcygburem! Ja mówię do niego „pan”, a on
do mnie „on”. Jeśli to jest grzeczne, to każę się powiesić.

– Grzeczne czy nie – ale powieszony czy coś takiego to on
będzie!

– Ach! Przez kogo? – zapytał Sępi Dziób, śmiejąc się.

– Dowie się bez konieczności mówienia mu o tym przeze
mnie. Czyżby nie wiedział tutaj, że strzelanie do dzikiej zwie-
rzyny jest zagrożone karą tyłu i tyłu lat więzienia?



*Dopiero teraz Sępi Dziób odwrócił głowę i odpowiedział:
– Co mogę myśleć? Widzi pan przecież!*

Wtedy Sępi Dziób rozdziawił usta tak szeroko, że można było policzyć wszystkie jego trzydzieści dwa wspaniałe zęby.

– Wię... zienia... – wycedził.

– Tak, więzienia, arcyłotrze!

– Do stu piorunów! Bóg mi świadkiem, że o tym nie pomyślałem!

– Tak, przypuszczam. Tacy dranie myślą o karze dopiero wtedy, gdy znajdują się w tarapatach. Kim więc on jest?

– Ja? Hm! Kim pan jest?

– Jestem Ludewig Straubenberger.

W tym momencie na twarzy Amerykanina pojawił się wyraz rozbawienia.

– Ludewig Straubenberger? – powtórzył. – Co mnie to obchodzi!

– W dużej mierze to nawet jego sprawa. Jestem w służbie pana nadleśniczego von Rodensteina.

– Ale nie nosi pan myśliwskiego munduru.

– Ponieważ jestem sługą porucznika Helmersa.

– A jednak jest pan w służbie nadleśniczego? Jak to do siebie pasuje? Czy służy pan dwóm panom?

– Dwóm czy dwudziestu, to w ogóle nie jest jego sprawa tutaj. Jest moim więźniem i musi iść za mną!

– Do pana nadleśniczego?

– Tak. A do kogo innego, łobuzie?

W odpowiedzi na to Sępi Dziób wyprostował się na całą wysokość i rzekł:

– To nie stanie się tak szybko. Nie jest pan w mundurze. Niech się pan wylegitymuje przede mną jako urzędnik leśny.

Nigdy wcześniej nie zdarzyło się to dobremu Ludewigowi.

– Na piekło i diabła! – zawołał. – Taki łajdak w ogóle żąda ode mnie wylegitymowania się! Tak mu się wylegitymuję, że jego garb

stanie się brązowy i niebieski! Jego flinta jest już skonfiskowana. Pójdzie z własnej woli czy nie?

– Nie mam takiej potrzeby.

– Wtedy będę wiedział, jak mu pomóc.

Wziął nieznanego pod ramię.

– Niech pan zabierze rękę spod mojego ramienia! – polecił stanowczym tonem łowca.

– Ach, staje się coraz bardziej krnąbrny! Już ja go wyleczę!

– Pchtichchchch!

Strumień brązowego soku tytoniowego poleciał Ludewigowi na głowę. Puścił ramię kłusownika i krzyknął z najwyższym gniewem:

– Niech to wszyscy diabli! I jeszcze pluje! Drogo za to zapłaci!

W tej samej chwili zza jednego z najbliższych drzew odezwał się głos:

– Tak napluł też na mnie. Czy mam panu pomóc, mój drogi panie Straubenberger?

Ludewig odwrócił się.

– Ach, doktor od krów! – zawołał. – Co pan tu robi?

Mały człowieczek powoli i ostrożnie wyszedł zza drzewa.

– Szedłem do Rheinswalden i wtedy spotkałem tego oto człowieka – powiedział.

– No, a dalej?

– Zaczął ze mną rozmowę, a potem się pokłóciliśmy. Czy chce pan, żebym pomógł mu go aresztować?

– Cóż, nie potrzebuję pana teraz, bo sam jestem wystarczająco męski, by poradzić sobie z takim łotrem. Ale lepiej znaczy lepiej. Nie wygląda na to, żeby poszedł z nami z własnej woli. Zwiążmy mu lekko ręce za plecami.

Wtedy wokół ust Sępiego Dzioba pojawiło się osobliwe drganie.

– Byłoby to jednak dość zabawne – rzekł.

– Dlaczego? – zapytał Ludewig. – Nie widzę w tym nic zabawnego dla niego.

– O tak. Czy też nie jest zabawne dla kłusownika aresztować swojego handlarza zwierzyną?

– Handlarza zwierzyną? Co przez to rozumie?

– Mam na myśli siebie samego. Jestem handlarzem dziczyzny z Frankfurtu.

– Ach! – zawołał zdumiony Ludewig.

– A ten mały tam to prawdziwy kłusownik – kontynuował Sępi Dziób. – Od trzech lat dostarcza mi wszystkiego, co ustrześlił w lasach Rheinswalden.

Mały weterynarz nie mógł uwierzyć własnym uszom, gdy usłyszał te słowa. Ludewig też zrobił mocno zdziwioną minę.

– Na miłość boską! – zawołał. – W tym musi siedzieć straszny, jasny diabeł! Czy to prawda, mały?

Dopiero teraz zdumiony mężczyzna odzyskał mowę.

– Ja kłusownikiem? – zapytał, po czym wyciągając wszystkie dziesięć palców, jakby do przysięgi, dodał: – Przysięgam na tysiąc najszczęśliwszych przysięg, że jeszcze nigdy nie strzeliłem do myszy, a tym bardziej do kozła!

– Oho! Teraz chce się wybielić – odparł ze śmiechem Sępi Dziób. – Do kogo należy ta stara strzelba, tam?

– Tak, do kogo? – zapytał Ludewig.

– A kto zastrzelił tego kozła? Nie ja, tylko ten doktor. Ja go tylko rozciąłem i wypatroszyłem.

– Panie Jezu, czy coś takiego jest możliwe! – krzyczał mały, składając ręce nad głową w przerażeniu. – Niech pan w to nie wierzy, mój drogi, dobry panie Straubenberger.

– Do diabła! Ja tam w ogóle nie wiem, co mam myśleć!

Przy tych słowach Ludewig spojrzał bezradnie na nieznanego.

– Niech pan sobie myśli, co chce – odparł ten. – Jedno jest jednak pewne, że nie pozwolę się aresztować samemu. Byłem tak głupi, aby przekroczyć granicę z moim dostawcą, ale nie będę tak głupi, aby sam ponieść karę.

– Matko Najświętsza, dokąd to zmierza! – zawołał mały. – Nigdy w życiu nie trzymałem w ręku strzelby!

– Ale przy policzku – powiedział Sępi Dziób. – Mogę to udowodnić, a śledztwo wszystko ujawni.

Na to Ludewig zwrócił się do niego z bardzo poważną miną:

– Czy on rzeczywiście mówi prawdę?

– Tak.

– Czy on może na to przysiąc?

– Nawet po tysiackroć.

– Zatem nie mogę mu tam pomóc, mały. Jestem zmuszony aresztować również jego jako kłusownika.

Weterynarz odskoczył z przerażeniem.

– Na Boga, pan tylko żartuje! – zawołał.

– Nie, nie, ja mówię całkiem poważnie tutaj.

– Ale ja jestem przecież niewinny jak to kochane słońce na niebie!

– To właśnie wykaże śledztwo. Jesteś moim więźniem.

– Więżniem? Niebiosa, ja zmykam!

Odwrócił się i chciał uciec, ale Ludewig był na tyle szybki, by go złapać i mocno przytrzymać.

– Ach, czyżby Prusacy tak strzelali? – zawołał. – On chce uciec? Tym samym przyznaje się do swojej winy. Związę tych dwóch łobuzów razem tak, że żaden nie będzie mógł mi uciec.

– Na to się zgadzam – stwierdził Sępi Dziób. – Nie chcę być jedynym winnym. Jeśli sprawiedliwości stanie się zadość, pozwolę się związać i skrepować bez żadnego oporu.

– Dobrze, to jest mądre z jego strony. Niech da mi swoje ręce. Tu mam sznur.

– Ale ja przysięgam na wszystkich świętych, że jestem niewinny! – zapewniał mały. – Ten łotr chce mnie unieszczęśliwić.

– To się okaże – zapewnił go Ludewig.

– Ale chyba nie zamierza pan wlec mnie związanego do Rheinswalden, prawda? To by było tak straszne!

– Wlec? Och, nie, musi pan iść sam.

– Ale mój honor, moja ambicja, moja reputacja...

– Złapany, uwięziony, powieszony. Nikogo nie obchodzi reputacja kłusownika. Jak to będzie? Czy oddasz pan rękę dobrowolnie, czy będę potrzebował użyć siły?

Sępi Dziób schylił się do ziemi, podniósł swój płócienny worek, przerzucił go przez plecy i powiedział:

– Poddaję się dobrowolnie. Oto moja ręka.

– A ja poddam się pod przymusem! – zawołał mały. – Oto moja ręka. Jednak będę żądał zadośćuczynienia.

– To nie moja sprawa – rzekł Ludewig. – Spełniam tylko swój obowiązek. Wszystko inne będzie badane przez nadleśniczego.

Prawą rękę Sępiego Dzioba związał z lewą ręką weterynarza, po czym powiedział:

– No, zrobione. Ale kozioł, którego jednak sam do domu nie zaciągnę, to jest wasza sprawa.

– Mam już swoją paczkę – powiedział Sępi Dziób.

– Co jest w worku?

– Pięć zajęcy.

– Zające? Do pioruna! Skąd one się wzięły?

– Doktor wczoraj zastawił sidła, a my dziś przed świtem poszliśmy je przeszukać. W środku wisiało tych pięć zajęcy.

Mały był zupełnie zdrtwiał. Nie mógł wypowiedzieć ani jednego słowa. Ludewig zrobił srogą minę i powiedział:

– Czyli również zastawiacze sideł. To znacznie pogarsza sytuację. Ma pięć zajęcy do niesienia, więc doktor może wziąć kozła ze sobą.

– Ale to przecież kłamstwo, podstępne kłamstwo! – wykrzyknął w końcu mały człowieczek. – Sam połapał te zające.

– To wszystko, wszystko się wyjaśni – powiedział Ludewig schylając się, by związać razem nogi kozła.

– Panie Straubenberger, pozwę pana.

– Założmy.
– Każę pana ukarać.
– Nie obchodzi mnie to. Spełniam swój obowiązek tutaj.
– Ale całe moje dobre imię pójdzie do diabła.
– Tak jak zające i kozioł. Trzymaj pan.
Przewiesił zwierzę przez plecy małego.
– Święty Ignacy! – zawodził ten. – Teraz ja, niewinne ludzkie stworzenie, też muszę wlec to całe ciężkie bydło!
– Ten kozioł nie jest teraz tak ciężki, jak wszystkie inne, które już masz na sumieniu – orzekł Sępi Dziób.
– Człowieku! Chłopie! Otruję cię, gdy znów będę wolny!
– Do kata, jest coraz gorzej – powiedział Ludewig. – Więc dodatkowo trucieli! Upewnijmy się tylko, że dotrzemy do Rheinswalden. Pan nadleśniczy zdziwi się na widok łotrów, których mu przyprowadzę.

Dał tym dwom kuksańca i rozpoczął się ciekawy marsz. Doktor błagał, groził, jęczał i narzekał na próżno. Ludewig był chętny do wypełniania swoich obowiązków i bez względu na to, jak bardzo mały się opierał, krzepki Amerykanin ciągnął go za sobą bez większego wysiłku.

W tym samym czasie nadleśniczy był w swoim gabinecie. Dopiero co wstał i pił poranną kawę. Jego nastrój nie był dobry. Dawne, beztrudne czasy całkowicie minęły, nie było już szczęścia, nie było prawdziwej radości. List Sternaua dotarł i wywołał ogromną radość, ale długa cisza, która po nim nastąpiła, doprowadziła do przypuszczenia, że ci, którzy myśleli, że zostali uratowani, padli ofiarą jakiegoś nieszczęścia.

Wtedy na zewnątrz rozległy się szybkie kroki. Wszedł do środka Ludewig i stanął w drzwiach w wyprostowanej postawie, czekając, aż nadleśniczy zwróci się do niego.

– Co przynosisz? – zapytał ten krótko i mrukliwie.

– Kłusowników – zabrzmiała jeszcze krótsza odpowiedź.

Wtedy stary człowiek podskoczył z krzesła.

– Kłusowników? – zapytał. – Czy ja dobrze słyszę?

– Tak jest, panie kapitanie, kłusowników – potwierdził Ludewig.

– Ilu?

– Dwóch.

– Święty Hubercie, nareszcie dwóch! Ha, to woda na mój młyn – powiedział staruszek. – Wezmę ich na tortury i rozciągnę tak daleko, że ich nogi sięgną od Breslau do Londynu. Gdzie ich masz?

– Na dole w psiej szopie.

– Zabezpieczeni?

– Bardzo. Są związani, a przed drzwiami stoi dwóch strażników.

– Kto ich przyciągnął?

– Ja sam tutaj – brzmiała odpowiedź, której dobry Ludewig udzielił tonem pełnym dumy i pewności siebie.

– Ty sam? Ach! Gdzie więc?

– Na drodze do Moguncji.

Było zrozumiałe samo przez się, że sprowadzenie dwóch kłusowników wzbudziło w nadleśniczym największe zainteresowanie. Stał przed Ludewigiem i czytał każdą odpowiedź z jego ust, zanim ją usłyszał.

– Opowiadaj – rozkazał.

– Spadł świeży śnieg, panie kapitanie, więc wstałem wcześniej rano, aby dokończyć wszystkie wcześniej rozpoczęte zmiany. Gdy szedłem drogą, nagle padł strzał z obcej broni, co natychmiast usłyszałem. Szybko podkradłem się i zobaczyłem drania, który zastrzelił tam naszego najpiękniejszego kozła. Klęczał przed nim, żeby go rozciąć.

– Temu łotrowi powinno wbić się dziewięćdziesiąt dziewięć piorunów w skórę! Znasz go?

- Nie. To handlarz dziczyzny z Frankfurtu.
- Ach! Od kiedy ci dranie sami strzelają do kozłów?
- Och, on sam przecież nie strzelił, tylko ten drugi.
- Znasz go?
- Nawet bardzo, bardzo dobrze. Nie zauważyłem go od razu, ale bardzo szybko stanął mi przed oczami.
- Kim on jest?
- Nie mogłem uwierzyć własnym oczom, gdy go zobaczyłem. Ale tej nocy złapał już w sidła pięć zajęcy.
- W sidła? Pięć zajęcy w jedną noc?! Jak można zabijać dziczyznę w ten żaloszny sposób! Każę lotra rozerwać na strzepy rozgrzanymi obcęgami, tak jak nazywam się Rodenstein i jestem nadleśniczym.
- Całkowicie zasłużył na to, panie kapitanie. Już od lat robi za doręczyciela dla frankfurckiego handlarza.
- Haniebne. A my go nie złapaliśmy? Po raz kolejny widać, że nie można polegać na swoich ludziach. Mają oczy jak dziury w piecu i uszy jak świstaki, ale nic nie widzą i nic nie słyszą, nawet w najmniejszym stopniu. Ale przejadę się po nich raz i wprowadzę nowe zasady. Kto od tej pory co tydzień nie aresztuje kłusownika, ten zostanie wypędzony. W ten sposób pozbędę się kłusowników, a także was, wy pyskacze i gapie. Wy jecie mój chleb, a moją dziczyznę jedzą inni. Jakże więc mam żyć ja i jego najjaśniejsza wysokość, wielki książę? Może z kory dębu, szysek sosnowych i kolczastych futrzanych skór? Powieszę wasz koszyk z chlebem tak wysoko, że aby się go chwycić, dostaniecie szyje jak żyrafy czy stare panny, których szyje są skręcone jak korkociągi, gdy obracają się za mężczyznami. No i kim był ten lotr?
- Nasz lekarz od bydła.
- Nasz... wete...
- Słowo to utknęło w ustach starca.
- ...rynarz – dopowiedział Ludewig.

– Chłopie, czyś ty postradał zmysły?
– Na rozkaz, panie kapitanie.
– Nasz lekarz od bydła, nasz weterynarz, zastawiaczem si-
del? To niemożliwe.
– To prawda, panie kapitanie.
– Mylisz się. Czy to naprawdę on?
– Oczywiście. Jest przecież w psiarni.
– Cóż, to niech Bóg mu pomoże. Czy przyniosłeś kozła?
– Tak. Doktor musiał go przywlec.
– To mu się dobrze zrobiło. Szkoda, że nie wyrósł mu ko-
zioł na szyi. A zające?

– Wszystkie pięć jest tam. Handlarz dziczyzną ma je w worku.
– Dobrze, dobrze. Przesłucham tych dwóch facetów od razu.
Przemówię im do rozumu, że będą się pocić ze strachu olejkim
z drzewa i syropem. Idź i zbierz wszystkich ludzi. Wszyscy mają
przyjść do mojego biura. Potem, gdy na ciebie skinę, przypro-
wadzisz tych dwóch obwinionych. Pokażę im, co znaczy kozioł
i pięć zajęcy. Posłużę się przykładem. A jeśli, niestety, będę mu-
siał oddać ich w ręce sędziego kryminalnego, to najpierw tak ich
poturbuję, zszykanuję i zmaltretuję, że dożywocie będzie dla
nich rajem. A więc naprzód! Płonę z żądzy zemsty! Niech mnie
poznają, i to jak!

Ludewig oddalił się. Gdy wszedł na podwórze, jeden z pa-
chołków wyprowadzał właśnie ze stajni osiodłanego konia, bo
surowy pan kapitan chciał się przejechać.

– Zostaw to teraz i pomóż mi skrzyknąć ludzi – zarządził
Ludewig. – Pan kapitan przeprowadzi tu najpierw sąd.

– Nad kłusownikami?

– Tak. Wszyscy ludzie mają tam być, w gabinecie na górze.

– Dobrze, dobrze. Już biegnę.

Gorliwy sługa zostawił uwięzowanego konia i pospieszył z po-
mocą, by powiadomić swoich towarzyszy. W ciągu pięciu minut

wszyscy mieszkańcy Rheinswalden zostali zebrani. Kapitan kazał im uformować półkole z krzesel, w środku którego sam zajął miejsce, uprzednio machnąwszy ręką przez okno na dziedziniec. Tam Ludewig stał w drzwiach psiarni. Kiedy zauważył gest swojego pana, otworzył pomieszczenie i kazał wyjść obu przestępcom.

– Stój, doktorze – powiedział. – Ma pan zanieść kozła.

– Na przesłuchanie też?

– To się rozumie. On jest *corpus defectus*⁴, który zaprowadził go do więzienia, razem z zajęcami, które też są takimi *corpuserami*, tutaj.

– Ale ja jestem przecież niewinny.

– Powie pan to samemu panu kapitanowi. Nie znam się na przestępczości tak dobrze jak on.

Doktor musiał zabrać kozła, a Sępi Dziób niósł swój worek. Wciąż byli związani rękoma. Gdy prowadzono ich przez podwórze, Amerykanin zauważył konia, a na jego ustach na sekundę pojawił się zabawny uśmiech.

Ludewig poprowadził ich po schodach na górę i otworzył drzwi. Szybkie spojrzenie Sępiego Dzioba padło na zamek w nich. Weszli do środka i Ludewig zamknął drzwi za sobą i nimi.

– Oto oni, panie kapitanie – powiedział. – Czy mam zdjąć kozła z pleców?

Stary człowiek siedział pośród swoich ludzi z wyrazem twarzy i godnością hiszpańskiego głównego inkwizytora.

– Nie – odpowiedział – ten drań może to zrobić sam.

– Ale on jest przecież związany.

– To zbyt ciche. Rozwiąż ich. Kiedyś słyszałem, że przestępcy nie mogą być związani podczas przesłuchania i chcemy być posłuszni tej zasadzie.

⁴ *Corpus defectus* – właśc. corpus delicti (łac. przedmiot przestępstwa) – dowód rzeczowy świadczący o przestępstwie, ślad lub przedmiot stanowiący podstawę do przedstawienia wniosków.



*Kiedy zauważył gest swojego pana, otworzył pomieszczenie
i kazał wyjść obu przestępcom.*

Ludewig rozwiązał ich. Na twarzy Sępiego Dzioba pojawił się przy tym uśmiech zadowolenia. Weterynarz pospieszył z ogłoszeniem swojej niewinności jeszcze przed rozpoczęciem przesłuchania.

– Panie kapitanie – zawołał – wyrządzono mi straszną krzywdę. Podobno zastrzeliłem tego kozła, a jednak jestem...

– Spokój – przerwał mu gromkim głosem nadleśniczy. – Tutaj tylko ja mówię. Jeśli któryś z was dwóch odezwie się choćby słowem bez pytania, zostanie zamknięty jak kot i dostanie osiem lat więzienia więcej niż inni ludzie. Zrozumiano?

Mały zamilkł. Stary zwrócił się do Sępiego Dzioba:

– Znam tego drugiego, ale kim ty jesteś, hę?

– Jestem handlarzem dziczyzny we Frankfurcie – odpowiedział zapytany.

– Jak się nazywasz?

– Henrico Landola.

Słyszac to, stary aż zerwał się z krzesła.

– Henrico Landola? – zapytał. – Do stu piorunów! Jakiej narodowości?

– Jestem od urodzenia Hiszpanem.

Kapitan wybałuszył na niego oczy.

– Człowieku, łotrze, draniu, łajdaku, czy to prawda?

– Tak.

– Od jak dawna jesteś tu handlarzem dziczyzną?

– Tylko od kilku lat.

– Kim byłeś wcześniej?

– Kapitanem morskiego statku.

– Morskim rabusiem, czyż nie?

– Tak – odpowiedział Sępi Dziób z ogromnym spokojem.

– Sępi się po tobie powinien przejechać, ty wcielenie niczemności. Henrico Landola. Ach, bo w końcu mamy tego łotra. Ale, draniu, jak spotkałeś się z tym weterynarzem?

– Robił dla mnie trucizny, gdy chciałem kogoś otruć.

Wtedy mały podskoczył z przerażenia.

– Na wszystkie dobre duchy, to nie jest prawda. Ani jedno słowo nie jest prawdziwe.

– Spokój, trucicielu – grzmiał na niego kapitan. – Dziś jest dzień zemsty. Teraz sam siedzę w sądzie. W dniu dzisiejszym zostaną zdemaskowani wszyscy ci, których nikt inny nie był w stanie zdemaskować. Henrico Landola, ilu ludzi otrułeś?

– Dwustu sześćdziesięciu dziewięciu.

Nawet stary był zaskoczony. Ogarnęło go przerażenie.

– Szatanie! – zawołał. – Tak wielu, tak wielu! Ale dlaczego?

– Ano ten bydlęcy lekarz nie chciałby, żeby było inaczej. Musiałem, bo inaczej sam by mnie zabił.

– Panie Jezu, Panie Jezu! – zawołał mały. – Nie ma w tym żadnej prawdy. Ani jedna osoba nie może się zgłosić i powiedzieć, że to ja ją zabiłem.

Sępi Dziób wzruszył ramionami.

– Oczywiście temu zaprzecza, ale był najbardziej krwiożerczy ze wszystkich moich korsarzy. Mogę to udowodnić.

– Człowieku, jesteś potworem. Nigdy nie byłem nikim innym, jak tylko weterynarzem.

– Spokój, nie pyskuj – rozkazał nadleśniczy. – Jest pan w tym rejonie dopiero od trzech lat. To może być prawda.

– Wcześniej byłem w Elberfeld⁵.

– To się dopiero okaże. Niech pan milczy. Teraz muszę się uporać z tym Landolą. Człowieku, złodzieju i łajdaku, czy znasz niejakiego Corteja?

– Tak – odpowiedział Sępi Dziób.

– Ach! Jak go poznałeś?

⁵ *Elberfeld* – do roku 1929 było głównym miastem Bergisch Landu we wschodniej Nadrenii aż do jego zjednoczenia z czterema innymi miastami i utworzenia dzisiejszego Wuppertalu. Dziś Elberfeld, jako dzielnica Wuppertalu, rozciąga się na dzielnice Elberfeld, Elberfeld-West i Uellendahl-Katernberg.

- Przez tego weterynarza, on jest szwagrem Corteja.
- Nie, nie! – zawołał mały. – Nie znam żadnego Corteja. Nigdy nie slyszalem tego nazwiska.
- Spokój, bo każe pana wyrzucić! – wrzasnął na niego starzec. – Ja już się dowiem, kto jest twoim szwagrem.
- I zwracając się do Sępiego Dzioba, kontynuował:
- Czy robił pan interesy z tym Cortejem? Żądam prawdy.
- Tak, bardzo wiele – odpowiedział przesłuchiwany.
- Jakie to były?
- Mój statek piracki był jego własnością.
- Jak się nazywał?
- „Lew”, a ja nazywałem się wtedy Grandepriese.
- To prawda. Ten człowiek ma przynajmniej odwagę mówić prawdę. Czy zna pan może niejakiego Sternaua?
- Tak.
- Czy on nie próbował pana kiedyś złapać?
- Tak.
- Co wtedy zrobiliście?
- To, co zrobię teraz.
- Ach. Co zatem?
- Uciekłem. *Adieu*, panie kapitanie.

Na plecach miał jeszcze swój płócienny worek. Z ostatnimi słowami odwrócił się błyskawicznie i skoczył w stronę drzwi. W następnej chwili był już na zewnątrz, zatrzasnął za sobą drzwi i przekręcił klucz, aby nikt nie mógł go ścigać. Skacząc po trzy, cztery stopnie naraz, zbiegł po schodach i wyszedł na podwórze. Tam podbiegł do konia, odwiązał go, wskoczył na siodło i pogalopował w dal.

To tak śmiało, jak i nieprzewidziane wydarzenie tak zaskoczyło zgromadzonych, że wszyscy zastygli w bezruchu. Kapitan pierwszy się pozbierał.

- On chce uciec! – krzyknął. – Szybko, szybko za nim!

Skoczył do drzwi, żeby je otworzyć.

– Do tysiąca diabłów! Przekręcił klucz.

Pospieszył do okna i spojrzal w dół.

– Bomby i granaty! Tam wskakuje na konia. A tamtędy wyjeżdża przez bramę. Jak tak dalej pójdzie, to ucieknie od nas, zanim go znowu złapiemy.

Nikomu nie przyszło do głowy, żeby wyskoczyć przez okno. Wszyscy pobiegli do drzwi i walili w nie, aż przyszła stara służąca, która nie była obecna na posiedzeniu sądu. Otworzyła drzwi i wszyscy wybiegli na dziedziniec.

– Wyciągać konie! – rozkazał starzec. – Musimy za nim pogonić!

Tyle koni, ile było dostępnych, tylu jeźdźców wyjechało po chwili za bramę, a kapitan na czele wszystkich. W ich kierunku szedł wieśniak.

– Thomas! – zawołał do niego kapitan. – Widziałeś tego łotra na koniu?

– Tak, na pańskim koniu – odpowiedział.

– Z workiem na plecach?

– Tak, z workiem.

– Dokąd pojechał?

– Wydawało się, że bardzo się spieszy, ale zatrzymał się u mnie i zapytał o drogę do Rodrigandy.

– Więc jest w drodze do Rodrigandy?

– Tak, panie kapitanie.

– Dobrze, dogonimy go. Naprzód, chłopcy. Którykolwiek z was przyprowdzi mi tego łotra, dostanie za darmo całoroczną pensję i nowe ubranie.

Mimo podeszłego wieku, nadal pozostawał na czele wszystkich ścigających. Wyglądało na to, że sam zapracuje na roczną gażę.

Najbardziej niezrozumiale w tym incydencie było to, że nikomu nie przyszło do głowy, aby schwytać małego weterynarza.

Ten stał sam w pokoju i wpatrywał się w drzwi, przez które wszyscy w pośpiechu wybiegli.

– Jezus, Maria – westchnął. – Co ja mam teraz zrobić? Też uciec? To byłoby chyba najlepsze. Jestem kłusownikiem, trucicielem i piratem. Jeśli teraz wydostanę się szczęśliwie z zamku, będę się ukrywał przez osiem tygodni, aż moja niewinność wyjdzie na jaw.

Zaczął się skradać po schodach. Na dziedzińcu nie było widać ani jednego człowieka, bo nawet ci, którym nie dano konia, podążali pieszo za jeźdźcami, przynajmniej w odległości. Dlatego mały, drżący ze strachu człowieczek zdołał uciec niezauważony. Będąc przed zamkiem natychmiast skręcił z drogi i pobiegł w krzaki. Pani Helmers na próżno czekała na uzdrowiciela swojej chorej na *perlsucht* krowy...



Jakiś czas wcześniej drogą przetoczył się lekki powóz. W miejscu, gdzie droga rozchodziła się do Rheinswalden i Rodrigandy, powóz skręcił w tę drugą stronę. Na pierwszy rzut oka widać było, że to wynajęty powóz, gdyż woźnica zbytnio pasował do kozła dorożki. Pasażerem, który półleżąc znajdował się w tylnej części powozu, był jeszcze młody człowiek, którego wojskowy płaszcz wskazywał, że jest oficerem.

Po krótkim czasie ukazał się przed nim okazały budynek nowej Rodrigandy. Brama na podwórze była już otwarta, tak że powóz mógł przejechać i zatrzymać się przed podjazdem. Oficer wysiadł, zapłacił woźnicy, który natychmiast opuścił zamek i wszedł po schodach.

Po wejściu został powitany przez małego, bardzo grubego człowieka, którego na stanowisko przygnało toczenie się powozu. Był to kasztelan zamku.

– Pan porucznik. Witamy, gorąco witamy! – zawołał.

– Dzień dobry, drogi Alimpo. Już zwawy, o tak wczesnej porze?

– Tak, kto rano wstaje, temu Pan Bóg daje. Tak mówi moja Elvira.

– Czy ona też już się obudziła?

– To się rozumie.

– Ale państwo jeszcze odpoczywają?

– Nie. Jak mogliby spać, wiedząc, że pan przybywa?

– A więc Ludewig zameldował moje przybycie?

– Tak, był tu przedwczoraj.

– Jest tutaj, w Rodrigandzie?

– Nie. Przebywa w Rheinswalden. Jest zbyt przywiązany do pana kapitana.

– Gdzie są państwo?

– Jeszcze się nie zebrali, ale zaraz tak się stanie.

– W takim razie pójdę do małego salonu.

Po tym, jak zdjął płaszcz i nakrycie głowy, wszedł do pokoju. Tam, we wnęce okna, stała piękna, młodzieńcza postać dziewczyny. Odwróciła się, gdy wszedł.

– Kurt!

– Różyczka!

Podbiegli do siebie i wyciągnęli ręce.

– Witaj, drogi Kurcie – powiedziała urocza istota tonem najszczęśliwszej radości. – Chciałam być pierwszą, która cię przywita.

– I ja tak bardzo pragnęłam zobaczyć cię pierwszą, przed kimkolwiek innym.

– Naprawdę? Cóż, zatem twoje życzenie zostało spełnione. Ale za to tym razem zostaniesz z nami na bardzo długo. Prawda?

– Niestety, nie jest to możliwe. Dziś lub najpóźniej jutro znów wyjeżdżam.

Na jej twarzy pojawił się wyraz rozczarowania.

– To nieładnie, bardzo brzydko z twojej strony – stwierdziła nadąsana.

– Albo ze strony Bismarcka⁶.

– Bismarcka? Czy to on znowu cię wysyła?

– Tak, droga Rosito.

– A więc po raz kolejny masz do wykonania tak trudne, dyplomatyczne zadanie, którego nikt inny nie może wykonać, tylko ty sam?

– Każdy inny mógłby to zrobić tak samo dobrze jak ja. Szczęściem i zbiegiem okoliczności jest to, że to właśnie mnie powierzono to zadanie.

– A czy na długo wyjeżdżasz?

Przez chwilę patrzył jej wymownie w oczy, a potem odpowiedział:

– Na długo, być może na bardzo długo.

– Jakie to przykre. Pozostanę poważnie rozgniewana na Bismarcka, jeśli nadal w ten sposób będzie nas ciebie pozbawiać. Dzisiaj powrót z Rosji i w jednej chwili znów zniknięcie. Ciężko to wszystko znieść.

– Trzeba być posłusznym, droga Różyczko, nawet jeśli nie można wrócić.

– Ale z tobą tak nie będzie, prawda?

Wzruszył ramionami.

– Idę tam, gdzie wielu ludzi już zniknęło.

Rumieńce zniknęły z jej policzków.

– Gdzie to jest, Kurt?

– Zgadnij.

– Kraj, w którym wielu ludzi zniknęło?

– Tak.

⁶ Otto Eduard Leopold von *Bismarck-Schönhausen* (1815-1898) – niemiecki mąż stanu, premier Prus, kanclerz Rzeszy zwany „Żelaznym Kanclerzem”; przyczynił się do zjednoczenia Niemiec

– To mogłaby być daleka Ameryka?

– Rzeczywiście. Ale która konkretnie jej część?

Teraz w jej oczach pojawił się błysk.

– Mój Boże, jeśli dobrze zgaduję – powiedziała – czy masz na myśli Meksyk?

Pokiwał głową i uśmiechnął się.

– Dokładnie o to mi chodzi – potwierdził.

Wtedy zacisnęła swoje drobne dłonie w radosnym uniesieniu.

– To prawda, to rzeczywiście prawda, jest co do tego pewność?

– Tak. Wczoraj miałem audiencję u księcia, aby zdać mu relację. Przy okazji otrzymania nowych instrukcji do wykonania, nakazano mi jak najszybciej wyjechać do Meksyku. Wsiadłem w pociąg, pojechałem do Moguncji i wynająłem powóz, aby jak najszybciej dotrzeć tutaj i przekazać wam tę wiadomość.

– Muszą o tym wiedzieć, zaraz, natychmiast.

Otworzyła najbliższe drzwi i zawołała:

– Mamo, kochana mamo, Kurt jest tutaj i jedzie do Meksyku!

Potem pośpiesznie przeszła przez przeciwległe drzwi, a Kurt usłyszał jej radosne wołanie:

– Do Meksyku, do Meksyku!

Mieszkańcy zamku przybywali ze wszystkich stron, aby go powitać i wypytać o jego nowy cel podróży. Książę i księżna Ol-sunna, Otto von Rodenstein i jego żona oraz Rosa Sternau, piękna matka Leśnej Różyczki, wszyscy chcieli wiedzieć, czy to prawda, że musi tak nagle wyjechać do Meksyku. Przekazał im szczegółowe informacje, ale przerwano mu, bo na dziedziniec wjechał jeździec, którego dziwny wygląd przyciągnął wzrok wszystkich obecnych. To był Sępi Dziób.

Myśliwiec zeskoczył z konia, zostawił go i z workiem na plecach wspiął się po schodach. Alimpo wyszedł mu naprzeciw.

– Kim pan jest? – zapytał go.

– Kim pan jest? – zapytał Amerykanin.

- Jestem Alimpo, kasztelan tego zamku.
- Ach, to wystarczy. Czy można porozmawiać z mieszkańcami zamku?
- Najpierw proszę powiedzieć, kim pan jest.
- Nie ma potrzeby. Przecież mnie nie znasz. Przynoszę państwu niesamowicie ważną wiadomość.
- Od kogo?
- To właśnie im powiem.
- Których z państwa ma pan na myśli?
- Wszystkich. To, co przynoszę, zainteresuje ich wszystkich.
- Teraz się zbierają. Ale, drogi przyjacielu, nie wygląda pan stosownie, by pokazać się przed państwem.
- Wyglądam jak najbardziej stosownie do tej okoliczności. Jednak nie stosownie, żeby mnie długo wypytywano, a potem być może odprawiono. Z drogi!
- Oho. Muszę najpierw zapytać, czy może pan wejść.
- Nonsens. Zawsze jestem wpuszczany.
- Odepchnął go na bok bez zbędnych ceregieli i wszedł do przedsiönka. Widział wiele twarzy za oknami i tak łatwo trafił do salonu, gdzie byli państwo. Alimpo chwycił go jeszcze od tyłu, gdy wchodził i zawołał:
 - Z powrotem, z powrotem! Najpierw muszę pana zameldować.
 - Sam się tym zajmę.
- Z tymi słowami Amerykanin siłą wyrwał się z jego rąk. W tej chwili ukazał się książe i zapytał surowym tonem:
 - Wdzierasz się pan tutaj. Jaki masz pan powód tego niezwykłego zachowania?
- Sepi Dziób spojrział bez lęku w twarz pytającego i odpowiedział:
 - Powód, dla którego kocham to, co niezwykłe.
 - Do kogo pan idzie?
 - Do wszystkich Państwa.

– Kim pan jest?

– Nazywają mnie Sępi Dziób.

Na twarzy księcia pojawił się nikły uśmiech. Ten obdartus, ze względu na swój nos, miał pełne prawo nosić to przezwisko.

– Skąd pan przybywa? – pytał dalej Olsunna.

– Ja jestem... Ach, tu już naprawdę przybywają. Nie sądziłem, że stary nadleśniczy tak szybko odnajdzie mój ślad.

Na te słowa podszedł do okna tak nieelegancko, jakby był tu u siebie. Inni mimowolnie zrobili to samo. Widzieli, jak stary Rodenstein zeskakuje z parującego, nieosiodłanego konia. Alimpo usłyszał stukot kopyt i wyszedł na zewnątrz.

– Dzień dobry, Alimpo – usłyszeli wołanie kapitana. – Powiedz szybko, czy przybył tu jakiś jeździec.

– Tak.

– Kiedy?

– Przed chwilą.

– Cały poszarpany i z workiem na plecach?

– Tak.

– Dzięki Bogu, mam go! Gdzie jest ten łotr?

– Z państwem w salonie.

– Do wszystkich diabłów, to jest niebezpieczne! Muszę wejść natychmiast, zanim zdarzy się jakieś nieszczęście.

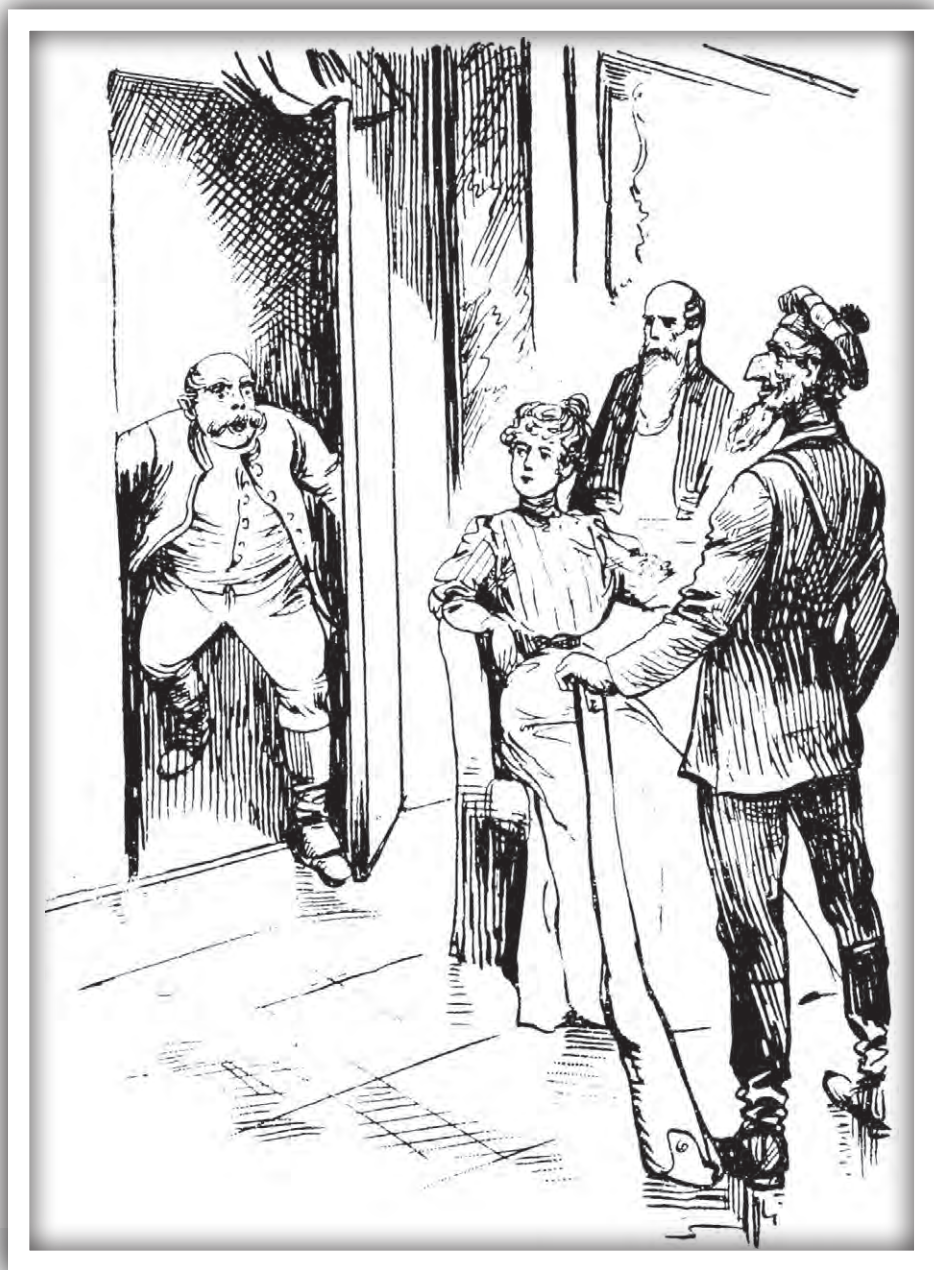
Po chwili otworzył drzwi i wszedł do środka. Zobaczyć zbiega i popędzić w jego kierunku oznaczało jedno i to samo.

– Łajdaku, znowu cię mam! – zawołał, nie tracąc czasu na przywitanie się z innymi. – Nie uciekniesz mi już więcej. Każe cię zakuć w żelaza, aż pękną ci wszystkie żebra!

– Co, na litość boską, się stało? – zapytał książę. – Kim jest ten człowiek, drogi kapitanie?

– Ten człowiek, ten okaz – o, on jest największym przestępcą, jaki istnieje pod słońcem. Otruł ponad dwieście osób.

Obecni patrzyli na niego zdumieni.



– Łajdaku, znowu cię mam! – zawołał, nie tracąc czasu na przywitanie się z innymi.

CHCESZ PRZECZYTAĆ
DALSZĄ CZĘŚĆ?

Leśna Różyczka

Zapraszamy do księgarni!

TAJEMNE
POSŁANNICTWO





Kolekcja

Leśna Różyczka

CZEŚĆ I – CÓRKA GRANDA

- Tom 1: Walka o miłość
- Tom 2: Uratowana miłość
- Tom 3: Jaskinia z królewskim skarbem

CZEŚĆ II – W POSZUKIWANIU ZEMSTY

- Tom 1: Wyprawa mścicieli
- Tom 2: Wyleczenie

CZEŚĆ III – ZWYCIĘSTWO MŚCICIELI

- Tom 1: Porucznik gwardii
- Tom 2: Maksymilian, cesarz Meksyku 1
- Tom 3: Maksymilian, cesarz Meksyku 2
- Tom 4: Maksymilian, cesarz Meksyku 3
- Tom 5: Tajemne posłannictwo
- Tom 6: Zakończenie

Leśna Różyczka to powieść o niespotykanym, gigantycznym wręcz rozmachu. Autor często przenosi akcję na różne kontynenty, stosuje zabieg czasowych skoków akcji. W powieści roi się od postaci historycznych, m.in.: cesarz Maksymilian, księżę Bismarck, cesarz Wilhelm I. Jednym z głównych bohaterów jest doktor Sternau – pierwowzór późniejszego Old Shatterhanda (alter ego samego pisarza). Jego przygody to zapowiedź późniejszych, najlepszych dzieł autora *Winnetou*. *Leśna Różyczka* pokazała również dużą sprawność Maya w poruszaniu się w tematyce Dzikiego Zachodu i bliskowschodnich przestrzeni Orientu.

Niniejsza kolekcja jest zatem pierwszym polskim wydaniem *Das Waldröschen*, pozbawionym jakichkolwiek zmian i skrótów. Tekst oparty został na pierwszym niemieckim wydaniu. Ilustracje anonimowego twórcy pochodzą z edycji niemieckiej (Wydawnictwo H.G. MÜNCHMEYER, Dresden-Niedersedlitz, 1902 r.).

Wszystkich, którzy pragną przeżyć dziesiątki niesamowitych, wciągających i mrozących krew w żyłach przygód, serdecznie zapraszam do przeczytania *Leśnej Różyczki* Karola Maya, niezapomnianego klasyka powieści przygodowej.



Wydawnictwo JAMAKASZ | Ruś Śląska 2025
www.jamakaszy.pl

ISBN 978-83-66268-99-9 (kolekcja)
ISBN 978-83-67876-46-9 (tom 10)